



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
DLA DZIECI.



Klementyna z Tańskich Hoffmanowa.

KLEMENTYNA Z TAŃSKICH HOFFMANOWA

przez

Anastazją Dzieduszycką.

„Wszystkie polskie dzieci, są moimi
dziećmi.”
Hoffmanowa.

Zdarzyło mi się wejść raz wieczorem do bawialni moich znajomych; około stołu i wielkiej, jasno płonącej lampy, zastałam zgromadzoną całą rodzinę, pięć głów pochylonych; każdy czytał. Moje wejście przerwało czytanie, po przywitaniu i zajęciu miejsc:

— Ciekawa jestem, co czytacie—rzekłam: i po kolei brałam do ręki książki przed chwilą na stół rzucone.

Przed chłopakiem dwunastoletnim leżał *Jan z Czarnolesia*; dziewczątko dziesięcioletnie czytało *Rozrywki*; dziewczę szesnastoletnie trzymało w ręku *Pamiętnik Krasiniskiej* i wyglądało tak, jakby się na mnie za przerwanie czytania gniewało; dziełko *O powinnościach kobiet* przed chwilą zajmowało matkę, panią R., a siostra jój, trzydziestoletnia panna, czytała *Krystynę*.

— Czy zmówiliście się co do wyboru czytań?—Wszyscy czytacie dzieła p. Hoffmowej!—zawołałam śmiejąc się.

— Czy tak! doprawdy?—odparła z uśmiechem gospodyni domu.—Nie wiedziałam nawet o tém. Rózi sama dałam *Pamiętnik Krasiniskiej*, ale do reszty książek nie zajrzałam nawet dzisiaj. Nic w tém jednak niema dziwnego, bo p. Hoffmowa jest rzadką autorką, której pisma każdy wiek z przyjemnością i pożytkiem czyta.

— Masz słusność—rzekłam—co do mnie, cenię ją zarówno jako autorkę wielu dzieł pożytecznych i zajmujących, i jako kobietę, zawsze też z równem zajęciem odczytuję jój *Pamiętniki* pełne prostoty i szczeroci. I nie wiem w rzeczy samej, czy lepiej iść za jój radami, czy przykład jój naśladować.

— Powiedz nam, pani kochana, co wiesz

o jój życiu?—zawołały młodsze dzieci.—Czy to jój pomnik teraz w Paryżu potrzebuje odbudowania?

— Jej to pomnik, ale polskie kobiety, polskie dzieci, które ona swemi dziećmi zwała, nie dadzą mu upaść, wzniosą trwalszy niż dawniej i nazwisko jój zapiszą, nietylko na kamieniu, ale i w pamięci swojej. Gdybym miała pod ręką jój pamiętniki, przeczytałabym wam z nich niejeden wyjątek, a pewnieby was zajęły.

— Zaraz przyniosę ci jej pamiętniki—rzekła p. R. I po chwili wróciła z niemi w dłoni i znowu zapanował w salonie przerwany przezemnie spokój, tylko oczy dziatwy były wlepione we mnie, a nie pochylone nad książkami.

Dnia 23 Listopada, 1738 roku, urodziła się państwu Tańskim w Warszawie córeczka, której dano imię Klementyny. Państwo Tańscy chwilowo tylko znajdowali się w Warszawie, zwykle mieszkali o sześć mil od stolicy, we wsi Wyczulkach, którą p. Tański dzierżawił. Byli to niegdyś ludzie zamożni, ale stracili niemal całe mienie w czasie najboleśniejszych dla kraju chwil. Ks. Czartoryski, dowiedziawszy się o trudnym ich położeniu, powołał p. Tańskiego do Puław i powierzył mu kierunek wielu interesów; wyjechali więc p. Tańscy do Puław ze starszą córeczką, a malutką Klementynę zostawili w Izdebnie, u znanej z niezwykłej zacności pani Anieli Szymanowskiej, bo córka jój szesnastoletnia, p. Dorota, postanowiła opiekować się po macierzyńsku małą i śliczną wówczas Klementyną. W domu p. Szymanowskiej upłynęło Klementynie lat dziesięć, od 4 do 14 roku życia, a był to dom prawdziwie staropolski, w którym mało uczono słowy, a ciągle przykładem. Sama pani Szymanowska odznaczała się szczerą pobożnością, cnotą surową i łagodną zarazem; bo surową dla siebie, a dla drugich łagodną. Codziennie na wspólną modlitwę zwoływała rodzinę, sługi i domowników; w święta i niedziele gorliwie uczęszczała do kościoła, nie opuszczając żadnych religijnych obrzędów; oszczędna i pracowita, sama nosiła kluczyki od skarbczyka i apte-

czki, sama głowy cukru na kawałki rąbała, sama wydzielala zajęcia pannom respektowym i służebnym i nad ich wykonaniem czuwała, sama z dziwną troskliwością pamiętała o potrzebach wszystkich domowników. Miłe wspomnienia wyniosła z Izdebną mała Klementyna i żywą dla swych opiekunek wdzięczność; na zawsze pozostały w jej pamięci wrażenia wyniesione z obchodu Bożego Narodzenia i radosnych kolend, bardziej jeszcze żywe, obrzędów wielkotygodniowych i przejmujących pieśni o Matce Bolesciwój, pod krzyżem stojącej i mieczu, który serce jej przenikał. Ale rzecz dziwna, w domu, w którym tak kwitły staropolskie cnoty, panował pod wielu względami obyczaj francuzki. Mówiono, czytano, dzieci uczono po francuzku, nawet historii polskiej uczyła się Klementyna z dzieła ks. Naruszewicza, przetłómaczonego na język francuzki.

W r. 1805 umarł p. Tański, ojciec Klementyny, matka jej na żądanie ks. Czartoryskiego, który jej zapewnił 3,000 złp. dożywotniej pensyi, pozostała w Puławach. Dopiero gdy córki dorastać i staranniejszej nauki wymagać zaczęły, wyjechała z niemi do Warszawy, wydała dzieła męża, (bo p. Tański był autorem) zebrała za nie 26,000 złp., i z odsetków od téj sumki, oraz z pensyi, jaką jej ks. Czartoryski zapewnił, uzbierała sobie 5,000 złp. dochodu. Pieniądze miały wówczas większą wartość niż dzisiaj, pierwsze potrzeby życia były o wiele tańsze, przecież trudno było wyżyć z rodziną z tak małego funduszu; to też Klementyna Tańska nawykła do bardzo skromnego życia i nieraz nauki przerywała, żeby matce w gospodarstwie lub szyciu być pomocną. Ale czas znalazł się na wszystko, bo były najlepsze chęci. Oto, jak nam to życie sama w pamiętniku swoim opowiada:

„W jedzeniu największa u nas panowała prostota; kawa, cukier, wino, wygnane zostały; na oko był nasz dom bardzo uczciwy; pomieszkание porządne, zawsze byliśmy porządnie choć skromnie ubrane, nigdyśmy nie cierpiały głodu, a ja, mając zawsze wszystko, czego mi potrzeba było, myślałam, żem bogata.“

Tak pogodnie i spokojnie napozór upły-

wały dni Klementyny, uczyła się niemało; siostrze za mąż wychodzącym szła wyprawy i wtedy zwały już ją: „pocziwą, zacną, nieoszacowaną.“ Ale pokryjomu dziwna gorycz wkradała się do jej serca; gdy dzieckiem była, nieuważna piastunka rzuciła ją na ziemię, łopatką jedną się usunęła i z laty ułomność, zrazu drobna, coraz widoczniejszą się stawała. To uposledzenie bolało Klementynę; patrzyła z pewnym smutkiem na piękne siostry, pytała, dla czego one będą szczęśliwe, kochane, ona jedna tego szczęścia nie zazna. Troskliwe oko rozumnej jej matki dostrzegło cierpienia dziecka; dała Klementynie udział w zajęciach domowych, ażeby myślą zbyt często ku sobie nie wracała, a przekonywującemi słowy wzbudziła w niej tę wiarę, że i ona szczęśliwą będzie, gdy mniej o siebie, więcej o drugich zająłopotana, pracować zacznie nad tém, by wdziękiem rozumu i szlachetnego serca nagrodzić to, co jej powierzchowności brakowało.

Rok 1817 zastał już Klementynę spokojną i pogodną; walczyła z miłością własną i zwyciężyła; rok ten ważnym był w jej życiu. Zajęła się nauczaniem młodziej siostry i zajęcie to umilało jej życie; w tymże roku ukazały się po raz pierwszy: *Spiewy historyczne* Niemcewicza, a Brodziński, oburzony zaniedbaniem, w jakim język ojczysty zostawał, w skutek upodobania w mowie francuzkiej, napisał wiersz p. t.: *Żal za polskim językiem*. Klementyna, przeczytawszy te prace, zrozumiała naraz, że niedość być dobrą córką i kochającą siostrą, ale trzeba zostać jeszcze dobrą obywatelką; znać swój język, kochać go, czytać dzieła ludzi, którzy w tym języku pięknie wierszem i prozą pisali. Dla Klementyny, poznać obowiązek i spełnić go, było zawsze jednem i tém samém; usunęła więc na bok dzieła francuzkie, a wzięła się do Kochanowskiego, Górnickiego, Skargi, Krasickiego i biskupa Woronicza, którego nawet osobiście znała. W tymże roku sama probuje pisać małe rozprawki, zdaje się, że w tém z siostrą idą o lepsze, a matka sędzią bywa i ośmielone przez nią, posyłają obie do Pamiętnika Warszawskiego (wówczas przez Feliksa Bentkowskiego wydawanego pisma),

dwa synonimy ¹⁾ bez podpisu; pierwszy: Dowcip, rozum, rozsądek; drugi: Odzież, ubiór i strój.

Wyobraźcie sobie, z jakim biciem serca młode autorki brały do rąk nowe numera *Pamiętnika*, jak w nich szukały swoich utworów; niestety, dwa świeże numera wyszły, a synonimów w nich nie było; w trzecim dopiero, ale styczniowym, w którym zwykle umieszczają wyborowe utwory, ujrzały swoją pracę. Nowe oczekiwanie! co też publiczność czytająca o ich pracy powie? Kilka razy w towarzystwie słyszały, jak *Pamiętnik* chwalono, ale o synonimach nie wspominając; wreszcie generał K. odezwał się z ich pochwałą w obecności obu panien Tańskich; oto co o tem pisze Klementyna w swym pamiętniku:

3 *Stycznia 1818 r.* Rzecz taka: z namowy matki, już dwa miesiące temu, starsza siostra i ja posłałyśmy do redakcyi dwa synonimy z życzeniem, aby w *Pamiętniku* były umieszczone. Dwa numera wyszły, a naszych dzieł jak niema tak niema; wstyd straszny! nareszcie wychodzi styczniowy. Są i nasze dzieła; radość wielka! prawdziwie trudnoby wyrazić, jak mi razem dziwno i miło było, gdy ujrzała pismo moje drukowane. A że jakoś niezłe myśli się te w książce wydają, już sobie ztąd różne układam plany na przyszłość. Nie pójdę nigdy za mąż, to rzecz pewna, zawsze więc wiele będę miała chwil wolnych; czytać i pisać, jest to dla mnie jedną z największych przyjemności życia; będę więc z wolna wprawiać się, to tłómaczeniami, to małemi drobnostkami oryginalnie pisanemi, a skoro znajdę więcej gładkości i wprawy w sty-

¹⁾ *Synonimami* nazywamy wyrazy, mające różne brzmienie, a znaczenie zbliżone: np. Odzież, ubiór, strój.

Odzież nazywamy okrycie proste, tanie, skromne, służące do chronienia nas od chłodu.

Ubiór ma tenże cel, ale nadto bywa kształtny i ozdobny.

Strój jest odzieniem drogiem, wykwintnem, odświętnem.

Te różnice w znaczeniu synonimów uwydatniły pp. Tańskie w artykułach przesłanych do: „*Pamiętnika* Warszawskiego.“

lu, więcej nauki i rozsądku w głowie, wezmę się do jakiego dzieła. Życia mego nie zmarnuję; może nawet z czasem użyteczną się stanę a pieniądze zebrane ulgą będą dla matki. Tak ozdabiam przyszłość moję; takimi czarującemi maluję ją farbami! dojdą czy nie te projekta, zawsze zarabiam przyjemne chwile, które na podobnych myślach pędzę.

30 *Stycznia*. Kiedy w pierwszych dniach tego miesiąca mówiłam o zamiarze pisania kiedyś dzieła jakiego, sama sądziłam, że ledwie za parę lat o skutecznieniu tego pomysłu; ale projekt pochlebiający, skoro tylko młodą zajmie głowę, póty ją męczy, dręczy, aż go choć cokolwiek nie doprowadzi do skutku, tak, jak to wino, co szumi, burzy się niespokojne, póki korka nie wysadzi. Co więc w pierwszych dniach tego miesiąca było tylko projektem, już skuteczniac zaczęłam plan całego pisma, (*Pamiętka* po dobrej matce) podzieliłam go na cztery części, a przejąwszy się tem, iż jestem umierającą matką i piszę dla córki, zasiadłam do ulubionego mego stolika i z większą łatwością, niż się spodziewać mogłam, napisałam część pierwszą. Wyrzutów sumienia nie mam żadnych, bo dla pisania żadnych innych nie zaniedbuję zatrudnień, pomimo tego, że niby jestem autorką, najczęściej nasze pokoje moją uprzątnione ręką, wszystko, co mam na sobie, moją ręką uszyte. Wicunię (siostrę) uczę tak, jak dawniej, do niczego mi więc ta praca nie przeszkadza, a dodaje wdzięku przyszłości mojej, uszczęśliwia mnie zupełnie.“

Gdy Klementyna miała tak myśl zajętą pierwszym dziełem swoim, godząc tak szczęśliwie najcodzienniejsze obowiązki z miłem jej nadewszystko zajęciem, bogata pani K. zapragnęła jej powierzyć wychowanie swoich córek; możeby Klementyna na to przystała, gdyby nie wzgląd na wolę matki, nie chcąc z córką się rozstawać, gdyby nie chęć dogodzenia matce. Posłuchajmy, jak sama nam opowiada walkę, która się odbyła wtedy w jej umyśle i sercu:

10 *Lutego 1818 r.* Przyznaję więc, że się wahała chwil kilka, ale przyznaję także, że każda z nich kilkoma łzami była znaczone i że to wahanie niedługo trwało. Przekona-

wszy się, żeby matce bardzo było bolesno, gdybym w jakie weszła obowiązki, zastanowiwszy się, żem teraz zupełnie kontenta z losu mojego, że najspokojniejsze, najmilsze wiodę życie, że jestem wśród drogich sercu memu osób, że niczego wyższego nie pragnę, odmówiłam i mam w Bogu nadzieję, że tego nigdy żałować nie będę. Zwyczajnie na złe wychodzi temu, który mając *dobre, lepszego* szuka; ja w domu całkiem jestem szczęśliwa i szczęście moje nie tak łatwo zmianie popaść może, bo je w matce, w samój sobie, w siostrach i rodzinie znajduję.

Klementyna nie została w nadziejach swych zawiedziona i rok 1819 w jęj pamiętniku zaczyna się od słów:

10 Czerwca. *Moje powodzenie.* Już trudno dłużej milczeć, trzeba zapisać w pamiętniku choć część niezasażonych i niespodziewanych powodzeń moich. Nigdy sobie nie wystawiała, żeby do tego stopnia moja: *Pamiętka po dobrój matce* podobać się mogła; dotąd żadnej nie słyszałam krytyki, żadnej nagany, wszyscy się unoszą nad moją pracą. Dziwić mi się tylko wypada, a dziwując się składać dzięki Opatrzności tego Boga, tak błogosławiącego moim zamiarom, bezwątpienia jemu jedynie winnam to całe powodzenie; on mi obrał zawód, on mnie w nim prowadził, on opiekuje się mną od dzieciństwa. Słowem, raz jeszcze to powtarzam, Bogu winnam wszystko! talent mój bez Jego opieki byłby niczem! Matka moja cieszy się nad wszelki wyraz z powodzenia mojego, zdaje się, iż jęj zdrowia przybyło, a ja nie zdołam opisać szczęścia mojego; wszystko, co snem przed rokiem mieniłam, wszystko to się spełnia. Z własnej pracy utrzymać się mogę, nie jestem ciężarem matce, sława owszem literacka dodała mi wartości w oczach rozsądnych ludzi, dziełko moje jest użyteczne. Już nie raz słyszałam tę najmilszą dla serca każdego pisarza pochwałę, że po przeczytaniu rad moich, czuje każdy podwójną w sobie chęć do cnoty i pracuje nad tém, żeby lepszym został.

Dziękami, które tylu radości dla Klementyny było źródłem i odrazu jęj, wówczas, 20 lat mającój, zjednało sławę niepospolitój autorki, było: *Pamiętka, po dobrój matce,*

w którém umierająca matka córce swęj rady zbawienne zostawia.

I odtąd panna Tańska ani chwili nie spoczęła; co roku ukazywały się jęj pisma, dla drobnych dzieci, dla dorastających, dla dorosłych; tak powstały te, które tu w ręku macie i wiele innych; we wszystkich maluje się jęj zacna dusza; maluje się i w jęj pamiętniku, przeczytajmy więc z niego jeszcze kilka ustępów.

W roku 1820 w Lipcu, rozpoczawszy wielkie dzieło p. t.: *Amelia matką*, w którém matka swe dzieci religii uczy, pisze:

„Żadne z dotychczasowych pism moich tyle mnie nie zajęło, ale też żadne tak ważne i tak trudne nie było. Często mi się zdaje, że ten zawód (autorski) jest nad moje siły. W jednym Bogu nadzieja. Jużbym tego dzieła nie mogła tak pisać jak *Pamiętkę* i *Powieści*, w matki pokoju, wśród rozmów i przeskód; mam też teraz osobny gabinet, chociaż to jest po prostu zakątek z dwóch parawanów zrobiony w naszym sypialnym pokoju, chociaż słońce do niego nie dochodzi, chociaż jeszcze słyszę wszystkie rozmowy, jednak dla tego, że już mam schronienie własne, przez które mi nikt nie przechodzi, gdzie nikogo nie widzę, takem z niego szczęśliwa, jak żebym najpiękniejszy pałac miała. Bardzo w nim ładnie, bo zawsze czysto i porządnie, sama go w dzień uprzętam i poznaję, jak to miło mieć własność swoją. Już nawet, kiedy mi kto mówi, że to nie gabinet, to mam ochotę się gniewać, bo każdy do własności swojej miłość własną przypisuje.“

Ukończywszy pierwszą część swego dzieła: *Amelia matką*, posyła ją do przejrzenia ks. Siarczyńskiego, który właśnie w tej chwili skrytykował dzieło Jul. Niemcewicza i wiele w tęj krytyce nauki, znajomości i rozsądku okazał. Oto, co o nim pisze Klementyna:

26 Grudnia 1820 r. Niektórzy zbyt surową znajdują krytykę ks. Siarczyńskiego i to właśnie mnie nakłoniło ku niemu. Posłałam mu więc część pierwszą; w krótkim czasie odesłał mi ją z postrzeżeniami swojemi, z nich wyczytałam (chociaż on obwinał w bawelnę) że cel mój bardzo jest piękny, ale że niezupełnie dobrze do wykonania jego się wzięłam i że układ tęj pierwszej części odmienił

wypadnie. Nie wskazał mi zupełnie, jak się wziąć do téj odmiany, ale uwagi jego tyle mi nowych myśli podały, tak rozwinęły mój umysł, że zdaje mi się, iż trafię teraz do końca. Okropnie pracować wypadnie, czytać niezmiernie wiele, myśleć i rozpamiętywać jeszcze więcej, ale przy pomocy Boskiej może dojść do końca; a im więcej to dzieło pracy kosztować mnie będzie, tém miłszém i droższém w oczach moich się stanie.

Dziś, gdy p. Hoffmanowej pisma czytamy, podziwiamy łatwość jój pióra; wyrazy, zdania, płynąć się zdają, a wszystko tak rozumiałe, że ani odczytywać, ani dłużej się zastanawiać nad ich znaczeniem nie potrzeba; ale ją te dzieła, pierwsze szczególnie, niemało kosztowały pracy; ona była surową dla siebie; rzecz napisaną po razy kilka odczytywała, poprawiała, przerabiała i w ten sposób dopiero zdobywała jasność myśli i wyrazów.

(d. c. n.)

SKOWRONEK.

Wiosna! wiosna! wieść radosna
Z ciepłém wiatrów tchnieniem płynie,
I sasanki już na wianki
Rozwinęły się dziewczynie.
Wstań skowronku, w złotém słońku
Wykap piórka twoje szare;
I skrzydlaty, nad te chaty,
Nad te ziemie wyleć stare.
Wyleć z pieśnią, ludzie prześnią
Świtu chwilę uroczystą,
Więc do Pana, choć ty zrana
Głos za niwą wznies ojczystą.
Dobra niwa, jak pocziwa
Piersz rolnika, co ją orze,
Tylko trzeba, by im z nieba
Przyświecało światło Boże.
Niém ogrzane, ziarnko wsiane,
Zdrowym kiełkiem w górę strzeli.
I wnet potem żniwem złotém
Starą ziemię uweseli.
Leć więc, ptaszę, prosby nasze

Niech piosenka wzniesie drżąca:
Słońca, Boże! na niw zboże,
I dla myśli ludu słońca!.

Marya Ilnicka.

Ziarnka moralności.

Helenka miała ciotkę staruszkę, która ją obdarzała mnóstwem kosztownych zabawek i cacek wszelkiego rodzaju. Nazbierało się tym sposobem kilkanaście pięknych lalek, a dla każdej z nich stały całe pudła wykwintnych strojów, oprócz tego niezliczona ilość różnych przedmiotów, ozdobnych szkatuleczek, koszyczków, i innych drobiazgów podobnych.

Ponieważ matka wymagała, ażeby dziewczynka sama utrzymywała w porządku swoje rzeczy, nieraz jój dokuczycieł składać do wszystko i chować, przyszło też w końcu do tego, że wszystkie te piękne graciki leżały spokojnie pozamykane w szufladach, a ona rzadko ich kiedy dotknęła. Co więcej, Helenka tak się przesyciła temi podarunkami ciotki, że ile razy coś nowego dostała, zamiast się ucieszyć, zwykle była niezadowolona, bo jój się właśnie czegoś innego zachciewało.

Ciotka ta nie miała dzieci, nie wiedziała więc, co jest dla nich pożyteczne, a co szkodliwe i sądziła, że obsypując dziewczynkę zbytkownemi przedmiotami, daje jój dowód swego przywiązania. Matka Helenki wcale temu nie była rada, ale trudno jój było sprzeciwić się ciotce starszej daleko od siebie, a przytém bardzo chorowitej.

Dnia pewnego Helenka, przechodząc koło mieszkania stróża, spostrzegła przez drzwi otwarte dwie małe dziewczynki, jego córeczki, siedzące na podłodze i bawiące się brudnemi jakimiś szmatkami. Starsza próbowała uwinąć z nich coś nakształt lalki, a młodsza cisnęła w rączynach prosty zwitek galganeków, sznureczkiem związany, i kiwała się śpiewając, jakby lalkę kołysała. Helenka zatrzymała się przy drzwiach i przypatrywała się z zajęciem biednym dziewczątkom,

gdy zbliżyła się żona stróża, powracająca z miotłą w rękę z podwórza i zaczęła się śmiać, mówiąc:

— Widzi panienska, jakie to głupie dziewczyny; widziało to nieraz lalki u innych dzieci, co tu w podwórzu mieszkają i ciągle im się śni tylko o lalkach.

— A czemuż wy im prawdziwych laleczek nie kupicie, moja Maciejowo?—zapytała Helenka.

— Jeszcze czego! czy to ja mam na takie zbytki? One mi już o to nieraz głowę suszyły, ale gdzieżbym ja tam na te głupstwa pieniądze wyrzucała.

Helenka nic nie powiedziała, ale pobiegła do matki, szepnęła jej coś na ucho, a gdy ta z uśmiechem skinęła głową na znak przyzwolenia, dziewczynka otworzyła szufladę z zabawkami, do której już od dawna nie zaglądała, wyjęła z niej dwie lalki i pędem zbiegła znów do mieszkania stróżki.

Łatwo sobie wyobrazić, co się działo z biednymi dziewczątkami, gdy się dowiedziały, że te prześliczne, postrojone lalki, mają być ich własnością; mało nie poszalały z radości. Ale i nasza Helenka, patrząc na ich uciechę, tak była szczęśliwa, że się nie mogła oderwać od tego widoku. Gdy wreszcie powróciła do matki z twarzyczką rozjaśnioną, zarumienioną całą rzuciła jej się na szyję, mówiąc:

— Ja doprawdy nie wiem, moja mammo, dla czego ja nigdy tak się nie cieszyłam, dostawszy sama najpiękniejszy podarunek od ciotki, jak teraz, patrząc na radość tych biednych dzieci.

— Nic dziwnego, moje dziecko—odrzekła matka—Bóg, nakazując nam miłość bliźniego, wlał zarazem w serca nasze słodkie uczucie wewnętrznego zadowolenia, ile razy to prawo jego spełniamy.

— Mammo, ja oddam i resztę lalek tym dzieciom...

— Nie, moje dziecko, to byłby nierozsądek, one tych zbytków nie potrzebują; dając, trzeba się zawsze zastanowić, czy dar nasz przyniesie prawdziwy pożytek. Lepiej wybierzemy coś z twoich sukienek i zaniesiesz tym biednym dziewczątkom.

— O, dobrze, dobrze, mammo, to tak przyjemnie dawać!

— Niezawodnie; jakże wiele nędzy i niedostatku można by usunąć na ziemi, gdyby wszyscy ludzie chcieli pamiętać na te słowa Chrystusa: *„Szczęśliwsza jest rzecz dawać, aniżeli brać.”*

POGADANKI O SZTUKACH PIĘKNYCH.

VII.

Architektura u Rzymian.

(Dokończenie).

Cesarze rzymscy sami zwykle za życia jeszcze przygotowywali sobie wspaniałe grobowce, tak samo, jak egipcjacy faraonowie. Oprócz tego, wielbiciele stawiali im na uczczenie zwycięstw i wielkich czynów pomniki takie, jak kolumna Marka Aureliusza, a częściej jeszcze bramy tryumfalne. Arkady półkuliste wybornie się do tego nadawały. W Rzymie pozostało kilka takich pomników, a między innymi bardzo piękna brama tryumfalna cesarza Tytusa, wzniesiona na pamiątkę zdobycia Jerozolimy. Jest to gmach marmurowy, czworokątny, mający osiemnaście metrów wysokości, czternaście szerokości i pięć grubości. Wielka arkada środkowa tworzy właściwą bramę, po bokach piękne płaskorzeźby przedstawiają z jednej strony Tytusa, jadącego na wozie, wśród orszaku wojowników, z drugiej łupy świętego miasta, lichtarz siedmioramienny, kosztowne naczynia zabrane w świątyni i żydów pojmany w niewolę. U góry, ponad arkadą, są także rzeźby i napisy. Bramy tryumfalne miały czasem po kilka arkad otwartych, jedna obok drugiej. Taką jest potrójna brama Septyma Sewera, wzniesiona w III wieku ery naszej na cześć tego monarchy i dwóch jego synów. Dawniej platformę tej wspaniałej bramy ozdobiła ogromna grupa bronzowa, wyobrażająca Septyma Sewera i synów jego, Karakallę i Getę, jadących na wozie.

Jest jeszcze rodzaj budowli, który w świecie starożytnym niepospolite miał znaczenie. Tak jak dziś mieszkańcy miast chodzą do reursy lub do cukierni, dla przepędzenia przyjemnie czasu, dla wytechnienia i rozrywki, tak Rzymianie chodzili do łaźni, a kto nie miał co lepszego do roboty, mógł tam całe dni trawić bez znużenia. Łaźnie publiczne, po łacinie *Thermae*, były u nich urządzone nadzwyczaj zbytownie, w okazałych budynkach, których do ośmiuset liczono w samym Rzymie. Cesarze, schlebając upodobaniom ludu, budowali coraz większe i coraz bogaciej urządzone łaźnie, nadając im swoje nazwiska, a wszystkich prześcignął Karakalla; szczątki jego łaźni, zajmujące znaczną przestrzeń w odległej dzielnicy Rzymu, dziś jeszcze podziwienie wzbudzają. Był to gmach olbrzymich rozmiarów, mieszczący w sobie rozliczne sale, a z opisu współczesnych pisarzy wiemy dokładnie, jaki tam przepych wszędzie panował. W osobnych salach odbywało się namaszczenie pachnącą oliwą, w innych rozmaite ćwiczenia gimnastyczne; wielkie sadzawki, trzydziestu me-



Wodociąg rzymski.

trów średnicy dochodzące, służyły do kąpieli, ale były tam wanny, niekiedy zawieszane nakształt hamaków. W jednej sali, na południe wystawionej, woda w sadzawce wygrzewała się na słońcu, w innych utrzymywano najrozmaitszą temperaturę, każdy więc mógł sobie wybrać kąpiel zimniejszą lub cieplejszą, według upodobania; były także sale, gdzie wpuszczano parę gorącą, w innych odświeżano powietrze za pomocą wodotrysków. Dookoła łaźni ciągnęły się znów rozliczne zabudowania, w których się mieściły jadalnie, czytelnie, sale zgromadzeń, gdzie odbywały się narady, mowy, deklamacye, a nawet teatralne przedstawienia. Nie brakło tam najrozmaitszych ozdób; piękne kolumnady pod-

pierały sklepienia, ściany pokryte były malowidłami, a w niszach stały wspaniałe posągi, często z Grecyi przywiezione.

Państwo rzymskie rozciągało się daleko poza Rzymem na wszystkie strony świata, zajmowało znaczną część Europy, wkraczało też do Azji i Afryki. Szczątki budowli Rzymian pozostały we wszystkich krajach, gdzie tylko sięgało ich panowanie. Nie możemy tu jednak wyliczać nawet najślawniejszych świątyń, cyrków, teatrów, łaźni, bram tryumfalnych, które są porozrzucane we Włoszech, we Francyi, nad Renem, i w wielu okolicach. Wszystkie te dzieła odznaczają się ogromem, okazałością i trwałością nadzwyczajną.

Rzymianie nie znali naszych kolei żelaznych, ale przeprowadzali drogi bite na odległości ogromne, a robili je tak doskonale, że i dziś te roboty wzbudzają podziwienie inżynierów. Na rzekach budowali wyborne mosty, ale najbardziej zadziwiające są wodociągi, z łacińskiego akwadukty, które mi czystą wodę do miast sprowadzali. Były to kanały kryte, prowadzone nad ziemią, na podmurowaniach, które często składały się

z kilku rzędów półkulistych łuków. Rycina nasza przedstawia szczątki takiego wodociągu, znajdujące się w południowej Francyi w pobliżu miasta Nîmes, które jest sławne z pamiątek architektury rzymskiej. Wodociąg ten przeprowadzał wodę z rzeki Gard, wpadającej do Rodanu; był on zarazem mostem, gdyż łączył dwa wzgórza ponad tą rzeką. Trzy rzędy arkad wznoszą się na pięćdziesiąt metrów wysokości, nad niemi przepływał kanał, ukryty pod warstwą wielkich płyt kamiennych. Wodociąg ten miał zbudować także Agryppa, zięć Augusta. W ogóle najpiękniejsze dzieła sztuki rzymskiej pochodzą z czasów cesarza Augusta, on bowiem szczególną opieką otaczał uczonych,

poetów i artystów, a wszystkie nauki, literatura i sztuka, za panowania jego wzniosły się do szczytu świetności. Architekt Witruwiusz z jego polecenia napisał znakomite dzieło o architekturze, z którego można poznać dokładne wyobrażenie o wszystkich prawidłach, których Grecy i Rzymianie w tej sztuce się trzymali. Cesarz August mógł powiedzieć o sobie, że miasto z cegieł zamienił w miasto marmurowe, tak jak nasz

Łabędzie o czarnych szyjach.

W sadzawkach naszych widzimy najczęściej łabędzie białe, które w stanie dzikim żyją na wielu jeziorach europejskich. Ale i czarne łabędzie, pochodzące z Australii, przyswoiły się u nas wybornie i często się z nimi spotkać można. W Saskim ogrodzie, w Warszawie, jeden i drugi gatunek jest



Łabędzie o czarnych szyjach.

Kazimierz mówił, że zastał Kraków drewniany, a zostawił murowany.

Nie powiemy wam tu nic o bazylikach, salach sądowych rzymskich, gdyż budowle te później wielkie miały znaczenie w architekturze chrześcijańskiej, o której niezadługo mówić będziemy, a wówczas i o bazylikach się dowiecie.

M. J. Z.

hodowany. Daleko rzadsze i osobliwsze są łabędzie, na naszym rysunku przedstawione, białe z czarną szyją. Ojczyzną ich jest Ameryka południowa, w strefie umiarkowanej. Łabędzie te są bardzo delikatne i z trudnością się dają przewozić do Europy i hodować w niewoli. Jednakże w niektórych większych miastach, gdzie są ogrody zoologiczne, starannie utrzymywane, można już te piękne ptaki obaczyć.

MOJA PIESZCZOTKA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

Teresę-Jadwigę.

(*Dalszy ciąg*).

Właśnie gdy to mówił, na moście zaturkotały pojazdy, więc nie czekając odpowiedzi sąsiada, porwał się naprzeciw przybywającym, a wojewoda dążył za nim wolnym krokiem. Kilka kolas stało już na dziedzińcu, sąsiedzi razem zjeżdżać poczęli, nastąpiły powitania, pocałunki, kasztelan poprowadził gości do izby paradnej, gdzie już czekała pani Zawistowska w ciężkiej jedwabnej sukni, w wielkim robionie na głowie, obok niej Irenka nieśmiała, zalekniona widokiem obcych twarzy. Panowie szli kolejną do pani domu, składali jej ukłon uniżony, potem zwracali się mniej pokornie, a za to więcej ciekawie ku panience; panie ścisnęły kasztelanową, Irenkę w czoło całowały. Niebawem izba się tak napełniła, iż w niej pręgi ciasno było, na dziedzińcu się uciszyło, kolasy przestały zajeżdżać, wtedy służba przyniosła długi stół srebrem zastawiony, podano obiad, goście stół obsiedli i gwaro się koło niego zrobiło, bo panowie głośno gawędzili o bieżących wypadkach, o królu Zygmuncie Starym, o koronacji królewicza, która kilka miesięcy temu odbyła się w Krakowie. Matrony przysłuchiwały się w milczeniu poważnej rozmowie, a panienki uśmiechem, spojrzeniem rozmawiały ze sobą. Przez otwarte okna świegot ptasząt dolatywał, służba krzątała się, brzęczała szkłem, gwaro, głośno było w izbie.

Wreszcie obiad skończono, wtedy na dziedzińcu dał się słyszeć huk moździerza; miało to być hasło do zabawy, więc sprzątnięto stoły, w progu drzwi ukazało się kilku muzykantów i poważny polonez zabrzmiał. Puściły się pary jedna za drugą, co żyło w izbie, i starzy i młodzi, wzięło udział w zabawie; przodem postępował kasztelan z wojewo-

dziną Pożarską, za nim kasztelanowa z wojewodą, potem szereg par coraz młodszych. Kilka razy okrążano pokój, nareszcie starsi usiedli, umilkły poważne tony poloneza, mazurek zabrzmiał, młodzież ochoczo pobiegła, a w pierwszej parze Irenka. Wsunąwszy się w wygodny fotel, kasztelan z uśmiechem na ustach patrzył na swą jedynaczkę i serce mu rosło ze szczęścia i dumy; najpiękniejszą była ze wszystkich, najzręczniejszą w tańcu, z radości aż klaskał w ręce i takt nogą wybił, a coraz to odwracał się do siedzącego obok niego wojewody:

— Cóż, nie zazdrościsz mi, sąsiedzie? - pytał, a uparty wojewoda odpowiadał:

— Jest czego, jest, ale ja wolę, że mam chłopca.

Ochoczo szła zabawa, o czwartej tańce rozpoczęto, wieczór cały na nich upłynął, o dziesiątej podano wieczerzę, młodzież przy niej odpoczęła i nabrała nowej ochoty; zaledwie sprzątnięto stoły, znowuż puściły się pary w płasy; już ranek świtał na niebie, a o powrocie do domu nikt jeszcze nie myślał. Brzask dnia mieszał się z blaskiem świec woskowych, tkwiących w srebrnych świecznikach, powiędły kwiaty w warkoczach tancznic, pospuszczały smutnie swe kielichy; matrony znużone drzemały, starsi panowie poziewali, ale młodzież bawiła się jeszcze ochoczo, kapela grała, a na dziedzińcu hucały moździerze i brzmiały wiwaty na cześć pieszczotki, na cześć dziedziczki Kamionki, bo pan kasztelan i służbie miodu nie pożałował... Sam, siedząc w wygodnym krześle, cieszył się ochotą młodzieży, cieszył widokiem Irenki i temi wiwatami, które na jej cześć tam za oknami spełniano... Lecz cóż to nagle zmieszało wesołość ogólną? ucichły naraz wiwaty, ucichły moździerze, muzyka zamilkła, pary stanęły... na moście, do baszty zachodniej wiodącym, coś nagle zahuczało, coś zatętniało na wałach i rzenie konia dało się słyszeć; głosy to znane, zwykłe w tém miejscu, a przecież strwożyły wszystkich; goście przerwali tańce, spojrzeli po sobie, kasztelan porwał się z krzesła, zwrócił wzrok ku oknu.

— Ktoś pędzi na koniu do dworu—rzekł. W istocie ktoś pędził, poza murem, dziedzi-

niec otaczającym, widać było jeźdźca śpieszącego ku bramie. Co żyło cisnęło się ku oknu zobaczyć kto to taki. Jeździec pędem strzały przeleciał przez bramę, minął dziedziniec i przed wschodami prowadzącymi do ganku się zatrzymał; koń jego pianą okryty poruszał łbem i parskał głośno, on otrzepał sobie z kurzu odzienie, czoło otarł z potu, poczem z konia zeskokczył, a oddając go pacholce, o coś zapytał; pacholek wskazał na drzwi wiodące do sieni, przybysz wszedł do nich.

Wszyscy odstąpili od okien, wszyscy wpatrzyli się w drzwi, niebawem rozległy się poza nimi kroki, a po chwili w progu stanął wyczekiwany; powiódł wzrokiem w okół, jakby kogo szukał, kasztelan postąpił ku niemu.

— Z czém przybywacie?—zapytał?

— Od króla J.M., miłościwego pana, wiozę poselstwo.

To mówiąc, przybyły sięgnął za suknią, dobył jakiś papier i podał go gospodarzowi. Kasztelan dłoń wyciągnął, wziął papier, pieczęć rozłamał i czytać począł; na wszystkich twarzach wybił się niepokój, ciekawość, wyczekiwanie. Wreszcie skończył, złożył papier i schował go za kontusz.

— Spoczniecie teraz u nas chwilę—rzekł do posła—zaraz przyniosą wam śniadanie, potem konia innego przyprowadzą.

Młodzian skłonił się do nóg gospodarza.

— Zosieczko, każ podać gościowi wędliny, piwa i co tam znajdziesz w spiżarni—rzekł kasztelan, zwróciwszy się do żony.

Pani Zawistowska wysunęła się z izby spieszenie, za nią podążyła Irenka; tymczasem młodzież cisnęła się do posła, dopytując, z czém przybył; starsi panowie kasztelana otoczyli, zafrasowana jego mina nic dobrego nie zapowiadała.

— Cóż tam nowego? powiedzcie—pytali go jeden przed drugim.

Kasztelan rzucił się w krzesło, westchnął ciężko.

— Nie wesołe nowiny, nie wesołe—rzekł nareszcie—Petryłło, wojewoda wołoski, zapomniawszy wiary i powinności przodków, wtargnął z ludem swym na Pokucie,

zrabował, popalił miasteczka Tyśmienicę, Kołomyję, Sniatyń; król wysłał przeciwko niemu Jana z Tarnowa i kraj cały wzywa do pospolitego ruszenia.

Słowa te różne wywarły wrażenie na obecnych, kobiety ręce załamały. Wojna, to dla nich wyraz tak straszny; tej mąż lub syn, tamtej ojciec, innej brat przyszli na myśl i w oczach ich łzy zaświeciły; starsi mężowie zadumali się poważnie, młodzi w szable uderzyli, oczy zaświeciły im gniewem.

— Zdrajca Wołoszyn!—ozwał się ten i ów—damy my mu; dziś nam, jutro Turkowi wiarę przysięgać będzie; pewno teraz chce się przypodobać sułtanowi, to nas szarpie; oj, nie ujdzie ci to, nie!..

W pół godziny potem dwór Kamieniecki opustoszał; rozjechali się goście w różne strony, każdy do siebie, by sposobić się do wyprawy na Wołochów. Ruszył też i poseł w drogę, wioząc dalej poselstwo królewskie, został tylko wojewoda, ale i ten zabierał się powoli. Znalazszy swój kołpak sobolowy, zbliżył się do zadumanego w krzesło kasztelana i rękę mu na ramieniu położył.

— A cóż, sąsiedzie—rzekł—czy jeszcze wolicie dziewczynę niż chłopca?

Kasztelan nic nie odpowiedział, tylko głowę zwiesił niżej jeszcze na piersi i westchnął ciężko. Wojewoda uściśnął mu dłoń, poczem zwrócił się ku drzwiom, lecz pan Zawistowski nie ruszył się z miejsca, nie odprowadził go do sieni, jak to było jego zwyczajem, sam wyszedł tym razem wojewoda. Nie, nie sam, poszły za nim szafirowe oczy Ireny; była ona w izbie, ale ukryta w kątku, słyszała słowa wojewody, widziała, jak ojciec zwiesił głowę na piersi, pochwyciła ciężkie jego westchnienie i wzrokiem pełnym wymówki pogoniła za odchodzącym, a gdy znikł za drzwiami, zbliżyła się do ojca i przyklękła u nóg jego.

Kasztelan zdawał się nie widzieć swój pieszczotki, bo ani na nią spojrzął, próżno Irenka wpatrywała się w niego.

— Ojczy—odważyła się wreszcie przemówić—ja wiem co tobie: ty lękasz się o nas, ty myślisz, jak my tu bez ciebie radzić sobie będziemy; ale bądź spokojny, twoja pieszczotka choć trzpiot, choć swawolnica wielka,

radzić sobie będzie umiała. Bądź spokojny, ojczulku, o mamę, ja będę nad nią czuwać pilnie; póki nie wrócisz, będę jej córką i będę jej opiekunką... Nie troszcz się też o pola, ja codziennie do żniwiarzy zabiegnę, wszak już kończą robotę, zwieziemy do stodół zboże bez ciebie. Jedź i walcz za ojczyznę, ja tu za ciebie domu strzedz będę.

Kasztelan uśmiechnął się do dziewczęcia, objął je ramieniem i do piersi przytulił.

— Et, co mi tam gada wojewoda—rzekł—wszystko dobrze będzie—i na czole pieczętki złożył długi pocałunek, a z siwych jego oczów spadła łza na głowę córki.

— Niech was Pan Wszechmocny strzeże—dodał głosem wzruszonym. Potem otarł oczy rękawem.—Hej Antek!—krzyknął—spieszno tu.

Na to wołanie wpadł do izby ten sam chłopak, którego już raz wzywał kasztelan tego dnia.

— Skocz do lamusu i przynieś mi moją zbroję—rzekł pan Zawistowski.

Antek poskoczył, a Irenka przytuliła się znowu z pieczętą do ojca.

— Więc już nie jesteś smutny, ojczulku?—zapytała.

— Et, co mi tam—odparł kasztelan—smutek złego nie żałę, trzeba ufać, że Bóg czuwać będzie nad wami i że moja Irenka nie tylko buzię ma ładną, ale i rozumek także.

Irenka uśmiechnęła się.—Przekonam cię o tym, ojcze—rzekła.

Nazajutrz, właśnie kiedy słońce wschodziło, coś zatętniało na moście zwodzonym; to kasztelan wyjeżdżał z oddziałem zbrojnym, śpieszył naprzeciw Jana z Tarnowa, o którym z listu wiedział, iż wyruszył już z Krakowa. Jechał przodem, cały w stal odziany, na głowie jego błyszczał hełm żelazny, czerwone pióra powiewały na nim, na sobie miał koszulkę świecąca, u boku szablę długą, krzywą. Jedną ręką wstrzymywał rwącego się rumaka, drugą gładził białą obwisłą jego grzywę, za nim parami postępowali młodzi i starzy. Rycerze jadąc śpiewali: „Bogarodzico, dziewico, Bogiem sławiona Maryo,“ a skowronek, co nad polami się unosił, wtórował im w pieśni i ciemne sosny swym poważnym

szumem wtórowały im także, słońce jasno świeciło, tylko ziemia głucho, ponuro jakos jęczała pod nimi, a w jednym z okien dworu Kamionki płakała cicho pani kasztelanowa i oczymazała zawionemi gonila odjeżdżających; Irenka tuliła się do niej.

— Nie płacz, matuniu—mówiła.—On powróci, on nie zginie; Bóg nad nim czuwać będzie. (d. c. n.)

PRZYGODY

NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW

W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(Dalszy ciąg).

— Panie Vergis—szepnął z cicha kapitan—mamy więc w sąsiedztwie okręt wojenny strażniczy; była to rzecz przewidziana. Każ pan ściągnąć większe żagle, ażeby ten statek mógł nas wyprzedzić. O północy skierujemy się do brzegu, a o świcie wysadzimy pasażerów na ląd na przylądku Loanga.

— Nie myślisz pan podpływać do Gabunu?

— Ani mi to w głowie; już i tak naraziliśmy się aż nadto. Niech licho porwie tych głupców, mogą ztamtąd jakakolwiek łódką dostać się do Gabunu.

W tej chwili głośnie śmiechy ozwały się w sali jadalnej, gdzie dotąd ucztowali goście kapitana.

— Tak, tak, młodzi przyjaciele—wołał Toucas płaczącym głosem—miałem zawsze niepospolite zdolności do wymowy i mocno żałuję, że nie zostałem prawnikiem; szkoda mnie na biuralistę.

— A mnie, czy nie szkoda na felczera?—założnie mówił Gilliasse—jak pomyszę, że to wszystko niesprawiedliwość egzaminujących sprawiał

A dwaj młodzieńcy nie powstrzymywali już nawet wybuchów śmiechu, widząc, że tamci poczciwcy zanadto mieli w czubku, ażeby się tym obrażać mogli.

— Jaka szkoda, że i młodzi nie spili się razem z temi starymi bydłętami; będą mi strasznie zawadzać, jeśli przyjdzie do jakiego starcia—mówił kapitan Noel, stojąc zadumany na pokładzie—my dziś naturalnie spać nie będziemy, panie Vergis, musimy być gotowi na wszystko.

Wkrótce cisza zaległa cały statek, ale kapitan Noel i wierny jego pomocnik Vergis przez całą noc oka nie zmrúżyli. O godzinie czwartej zrana kapitan wydał cichy rozkaz, aby przygotowano kocioł parowy i komin na wszelki wypadek, a sam stanął z lunetą na pokładzie i pilnie rozpatrywał się dookoła.

Okręt przez całą noc zbliżał się z wolna do brzegu, i już w oddali widniał pas ciemny na widnokręgu, to była ziemia. Kapitan miał właśnie wydać rozkaz, aby rozwinięto żagle i bieg okrętu przyspieszono, gdy skierowawszy lunetę w stronę przeciwną od brzegu, nagle wydał okrzyk natychmiast powstrzymany i położył dłoń na ramieniu starszego porucznika. W niewielkiem oddaleniu ujrzeli obaj wyraźnie wspaniałą fregatę, uzbrojoną w armaty bojowe, która szybko zmierzała prosto w tę stronę. Nie było wątpliwości, że na fregacie spostrzeżono Osę i żądano z nią spotkania. Kapitan nie namyślał się ani jednej chwili.

— Wszyscy na pomost! — zawołał tym głosem donośnym i brzmącym, który osada okrętowa nieraz już słyszała w chwilach niebezpieczeństwa. W téjże samej chwili ozwała się gwizdawka i dźwięk jej nie przebrzmiał jeszcze w powietrzu, gdy już majtkowie wszyscy co do jednego byli na pomoście.

— Odbijać od brzegu! rozwijać żagle! na pełne morze! — zawołał znów kapitan i jakby za dotknięciem różeczki czarnoksiężkiej wszystkie żagle, jak skrzydła olbrzymich ptaków zaszeleściły w powietrzu, wzdęły się, Osa zakołysała się na falach i jak lotna jaskółka pomknęła szybko naprzód. Gdy to spostrzegł komendant fregaty, zrozumiał od razu z kim ma do czynienia, dotąd bowiem miał tylko podejrzenie i natychmiast wydał rozkaz zagrodzenia drogi Osie. Rzecz zdawała się na pozór bardzo łatwa; czyż prosty okręt żaglowy mógł iść w zawody z parow-

cem? Fregata, chcąc zachować wszelkie formalności, wywiesiła flagę angielską i dała ognia z armaty. Było to wezwanie, aby obcy okręt ukazał także swoje barwy i dał się poznać. Ale Osa najmniejszej na to nie zwróciła uwagi i nie zwalniała bynajmniej biegu.

— Anglik, panie Vergis — mruknął kapitan.

— To i lepiej — odparł Francuz krótko.

— Bodaj, czy nas nie potraktują kulkami — szepnął znów kapitan. Zaledwie wymówił te słowa, gdy na fregacie błysnęło nagle i kula armatnia podskoczyła w wodzie tuż obok pomostu Osy. W téjże samej chwili czterej pasażerowie na wpół ubrani wybiegli na pomost; komisarz z felczerem wyobrażali sobie zapewne, że przybijają do brzegu i witali są odgłosem salw. Jakież było ich zdziwienie, gdy spostrzegli, że Osa całą siłą oddała się od brzegu, podczas gdy okręt wojenny wyraźnie ma zamiar drogę jej zagrozić.

— Co to się stało, kapitanie? — wołał Gillesse, nie na żarty przerażony.

Wtém, jakby na odpowiedź, druga kula, lepiej wymierzona, przeleciała ze świstem pomiędzy linami Osy.

— Co się stało, moi panowie — odparł kapitan Noel śmiejąc się głośno, bo nigdy nie bywał tak wesół, jak w chwilach niebezpieczeństwa — nic się nie stało nadzwyczajnego, upewniam panów; gonią nas tylko rozbójnicy morsey.

— Rozbójnicy? co mówisz, kapitanie — przerwał Toucas — czyż nie widzisz, że to okręt wojenny, spostrzegam nawet wywieszoną flagę, i gdybyś mi pozwolił swojej lunety, powiedziałbym ci zaraz, jakiej jest narodowości.

— Ej, co tam, panie komisarzu, flaga nie nie dowodzi, to jedno chyba, że te lotry rozbijają na rachunek swojego państwa, a my...

— Cóż pan chcesz przez to powiedzieć? — zawołał młody podporucznik Barthelet w najwyższym podziwieniu.

— A my — ciągnął dalej najobojetniej kapitan Noel — rabujemy na swój własny rachunek.

— Więc my tu jesteśmy?...

— Na okręcie, prowadzącym handel niewolnikami.

Te słowa kapitana Osy, który już nie miał do stracenia, jak piorun spadły na naszych nieprzygotowanych pasażerów.

— Mój panie!—zawołał wreszcie Toucas, przybierając postawę urzędową—uprzedzam, że natychmiast przygotowuję stosowny raport i podam go jak najspieszniej do wiadomości rządu, który tu przedstawiam.

Ta zabawna przemowa komisarza nie rozśmieszyła jednak nikogo, oprócz kapitana. Giliasse, który już zaczynał drzeć o własną skórę, poskoczył do przyjaciela, ażeby go powstrzymać w zapędzie.

— Mój drogi—szepnął mu na ucho—nie unos się, na Boga; wierzaj mi, że ci handlarze niewolników bywają czasem wcale niezli ludzie.

Dwaj młodzieńcy, Barthet i Guillois, spoglądali w milczeniu na tę scenę. Znadto byli odważni i szlachetni, ażeby chcieli ukrywać swoje oburzenie, ale z drugiej strony, czuli, że nie mogli występować w tej chwili do walki z tym lotrem, który miał taką siłę za sobą.

— Moi panowie—rzekł Noel stanowczym tonem—wicie zapewne, jakie są prawa kapitana na okręcie i jaka mu się uległość należy. Nie mam teraz czasu na dłuższe rozprawy, ale ponieważ obecność wasza na pomoście może mi zawadzać, odejdźcie natychmiast, czy to do wspólnej sali, czy do waszych kajut, a jak tylko się z tym Anglikiem rozprawimy, dam wam znać i będziemy mogli się porozumieć.

— Kapitanie—wyrzekł śmiało Barthet, postępując krok naprzód, ale ten nie dał mu przyjść do słowa.

— Mój panie!—wykrzyknął Noel—ostrzegam cię po raz pierwszy i ostatni, że kto nie wykona natychmiast mego rozkazu, w tejże chwili będzie okuty w kajdany.

Trzecia kula padła z hukiem i oderwała szczyt maszty Osy, fregata angielska zbliżała się szybko, z komina jęj buchały kłęby dymu, musiano szalenie palić pod kotłem, chcąc przyspieszyć rozstrzygnięcie tej sprawy; nikt tam zapewne nie wątpił o zwycięstwie.

— Do kajut!—wrzasnął kapitan grzmącym głosem—jedną sekundę macie do namysłu; posłuszeństwo, lub kajdany!

Dwaj młodzieńcy nie próbowali opierać się dłużej i przeszli do sali, z kąd przez dwa wielkie okna mogli widzieć dalszy przebieg walki. Toucas i Giliasse już od chwili siedzieli w najciemniejszym kącie, rozmawiając z cicha o tych nadzwyczajnych wypadkach.

— Ktoby się był spodziewał—mówił Toucas—taki się zdawał porządny człowiek, takie wyborne miał wino!... Jak też mógł zarząd marynarki w Bordeaux wyprawiać nas na okręcie, który prowadzi handel niewolnikami? to niedarowane!

— Biedny człowiek—rzekł Giliasse—srogo odpokutuje niezadługo wraz z całą osadą zuchwałstwo swoje i wszystkie bezprawia. Angolicy nie żartują w takich razach.

Fregata angielska zdawała się rzeczywiście bliżką celu, gdy wtem nagle zmieniła się postać rzeczy. Już od pół godziny pod kotłem Osy podłożono wielki ogień, Holloway był wyborynym maszynistą i wszystko od wczoraj miał w pogotowiu. Piec kuchenny uprzątnięty został szybko, a natomiast stanął potężny komin, z którego buchnęły także ogromne, czarne kłęby dymu. I wtedy lekki statek zaczął szybko wyprzedzać ociężałą fregatę. Komendant angielski, widząc co się dzieje, coraz gęściej strzelał, sądząc, że mu się uda uszkodzić uciekający okręt i tym sposobem go powstrzymać w biegu; ale się najzupełniej zawiódł. Stara, wysłużona fregata, uzbrojona była w dawne armaty, niezbyt daleko niosące, a kule wkrótce nie były w stanie dosięgnąć lotem ptaka unykającej Osy. Gdy kapitan Noel przekonał się dokładnie o wyższości swojego statku, przyszła mu do głowy myśl prawdziwie piekielna. Czuł się bezpiecznym i zapragnął się zemścić.

— Panie Vergis—rzekł do starszego porucznika—każ zwołać wszystkich ludzi na pomost, niech się gotują do boju. Już dawno nie mieli tej rozrywki, niech się trochę zabawią.

Rozkaz ten w jednej chwili wykonano. Nikt nie pytał, czy walka była równą, czy była potrzebną, kiedy fregata pozostała już

w tyle; gdyby kapitan Noel kazał swojej osadzie iść na zdobycie płonącego wulkanu, niktby się był pewnie nie sprzeciwił. W parę minut dwanaście paszcz, wybornie ukrytych w bokach Osy pod wiązaniem lin, wyjrzało na świat zuchwale. Majtkowie zrabali siekierami maszty, zasłaniające je przedtém, poobcinali liny, zwinęli żagle, okręt nie potrzebował już udawać, teraz był jawnie parowcem do boju uzbrojonym. Na skinienie kapitana wszystkie paszcze zionęły ogniem, a okręt wstrząsnął się cały i grad kul poleciał w stronę fregaty. Wyborne te armatki dwa razy dalej niosły od starych, zużytych armat angielskich. Była to rzecz prawdziwie niesłychana; walka pomiędzy wielką fregatą wojenną, uzbrojoną w sześćdziesiąt armat, z załogą złożoną z czterystu doświadczonych marynarzy i małym statkiem, mającym tylko dwanaście armatek i pięćdziesięciu ludzi zbieranej drużyny; walka nierówna, z przewagą—po stronie małego okrętu!

Osa, usprawiedliwiając swoją nazwę, jakby na skrzydłach podlatywała dokoła ciężkiej fregaty i przesyłała jęj straszliwe pociski, trzymając się w takim oddaleniu, że żadna kula dosięgnąć jęj nie mogła. Stara fregata, która nieraz za młodu zwyciężała z chwałą równych sobie przeciwników, dziś była bezsilną w obec szatańskiego żądła tęg jadowitej muchy; ogromna ta forteca, nie miała żadnych środków obrony. Komendant, stary, flegmatyczny Anglik, nie przestawał strzelać ze wszystkich dział, chociaż żadna kula nie dochodziła do celu. Uważał to za obowiązek i chciał go święcie spełnić do ostatka. I honor mu to nakazywał; czyż mógł statek wojenny Jęj królewskiej Mości cofać się przed złoczyńcami? W godzinę niespełna cały pomost nieszczęsnęj fregaty pokryty był szczątkami, zasłany trupami i rannymi. Kapitan Noel tryumfował! Szyderski uśmiech osiadł na jego ustach:

— A no, dziecil — zawołał donośnym głosem — zanim sprawę skończymy, pokażmy Anglikom nasze barwy; niechaj się dowiedzą przed śmiercią, z kim mają do czynienia.

W tęgże samęj chwili na tyle okrętu ukazała się gwiazdzista flaga amerykańska i jednocześnie zawisła nad nią wielka czarna

chorągiew, godło rozbójników morskich.

— A teraz—mówił dalej Noel—nabijając kulami wybuchającymi i mierzyć w boki statku, o ile można najniżęj. Teraz już się przeklęta fregata nie wykręci, niezadługo pójdzie straż odbywać wśród wodorostów i koralu.

Dzieło zniszczenia szybko postępowało, celne strzały padały jak grad na boki fregaty, Anglicy ze stoicyzmem największym, jak żołnierze na posterunku, czekali niechybnęj śmierci. Barthet i Guillois nie odchodzili od okna, z którego widzieli cały przebieg tęg morderczęj walki, a gdy zrozumieli barbarzyńskie zamiary kapitana Osy, zapomnieli zupełnie na jak straszliwe niebezpieczeństwo się narażają, przekraczając zakaz samowładnego dowódcy okrętu i jednomyslnęm uczuciem wiedzeni poskoczyli na pokład.

— Kapitanie—wołali szlachetni młodzieńcy—powstrzymaj się w tęg okrutnęj zemście. Wszak ci nieszczęśliwi szkodzić ci już nie mogą, zaledwie będą w stanie dobić się do brzegu. Kapitanie, czyż wszelkie uczucia ludzkości wygasły w twojęm sercu?

(d. c. n.)

Kryptograf. (K. Gr.)

Arfa—koń—lania—maski—et—z tychże samych liter, nie dodając ani ujmując, ułożyć inne wyrazy, które utworzą znane przysłowie.

Łamigłówka zgłoskowa. (Józio J.)

Z następujących zgłosek: ben—ce—ed—gan—io—le—mund—ne—or—ru—ski—wir—yon—za—zar—ułożyć ośm wyrazów: 1) Miejsce niebezpieczne. 2) Imię bogini mitologicznęj. 3) Imię męskie. 4) Imię starożytnęgo bohatera. 5) Nazwisko poety. 6) Narzędzie muzyczne. 7) Imię biblijne. 8) Rzeka we Francyi. Pierwsze i ostatnie litery, odczytane od góry do dołu, utworzą tytuł Pisma peryodycznęgo.

Rozwiązania do Nru 15.

Szarady: Pod — wiąz — ka.

Łamigłównki zgłoskowej:

Ob
Dama
Ytr
Nabab
Iza
Emir
Cecora.

Odyniec — Barbara.

Łamigłównki w trójkącie

E m o n a)
m i n a
o n a
n a
a.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Kazi Sz. w Gniewoszowie. Łamigłównki wszystkie trafnie odgadnięte. Za liścik, zawierający tyle miłych dla nas wiadomości, serdecznie dziękujemy, równie jak i za życzenia Świąt wesołych. Gdyby nawet każda poczta przynosiła po dziesięć podobnych liścików, jeszczeby nam czasu ani ochoty nie zabrakło do ich odczytania. Komedyjki będziemy zamieszczać w niewielkich odstępach; jedna będzie już w Maju drukowana.

¹⁾ Dawna nazwa miasta Lajbach w Krainie.

Treść.—Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, (z drzeworytem), przez Anastazją Dzieuduszyczą.—Skowronek, (wiersz), przez Maryę Ilnicką.—Ziarnka moralności—Pogadanki o sztukach pięknych, (z drzeworytem), przez M. J. Z., (dokończenie).—Łabędzie o czarnych szyjach, (z drzeworytem).—Moja pieszcotka, (powieść historyczna), przez Teresę-Jadwigę, (dalszy ciąg).—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Łamigłównki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.—W dodatku Tajemnica Starego Dworu, (powieść).

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2½, *Miesięcznie* kop 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 2½, w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 zlr. 20 cent. *Kwart.* 1 zlr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 zlr. 80 cent. *Kwart.* 2 zlr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 zlr. 60 cent. *Kwart.* 1 zlr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyą: *Rocz.* 8 zlr. *Kwar.* 2 zlr.

Biuro Redakcyi: Ulica Ś-to Krzyzka Nr. 14.

Karolci Gr. w Józków-Rogu. Wcale nie pochwalamy postanowienia dłuższej przerwy w korespondencyi, która i dla nas także stała się bardzo miłym nawykniem. Zasmuciła nas wiadomość o chorobie; spodziewamy się, że już przeminęła. O kryptografy prosimy, ale to nie pilnego, bo jeszcze parę mamy w zapasie. Na literaturę starczyło nadesłanych pieniędzy, więc nic się nie należy. Obietnica... (czy tylko była obietnica podobna?) doprawdy nie łatwa jest do spełnienia dla różnych a różnych powodów.

Jasiowi W. w Lublinie. Łamigłównkę kryształową wydrukujemy niezadługo, liczbową troszkę później, bo mamy mnóstwo podobnych. Staramy się, ażeby nasze *Wieczory* coraz więcej zajmowały kochanych czytelników, którzy nas tak miłemi darzą liścikami.

Frani S. Pogadanki o sztukach pięknych są przerywane dla tego, że nam braknie miejsca na rozmaite inne przedmioty, których także usuwać niepodobna. Zresztą, nie wszyscy czytelnicy tak lubią poważne rzeczy, musimy więc i innym dogodzić, zamieszczając powiastki i podróże. Nie brak jednak i nauki w naszym Piśmie, ale dla urozmaicenia podajemy coraz coś nowego.

Panu K. R. w Warszawie. Dziękujemy za sprostowanie. *Rękawka* rzeczywiście nie w poniedziałek, ale we wtorek po Wielkiejnocy się odbywa w Krakowie. Przeczyliśmy tę omyłkę w naszym Piśmie, a zwrócenie na to uwagi nie mogło nas obrazić, ale przeciwnie prawdziwą jest przysługą.

Pani L. B. w Wilnie. Przedpłaty na *Historyę Powszechną* nie przyjmujemy jeszcze, nie możemy bowiem oznaczyć na pewno, kiedy pierwszy tomik wyjdzie z pod prasy. Wydawnictwo tego rodzaju, z powodu dłuższych formalności cezuralnych i innych trudności, nie może być drukowane tak szybko, jak *Pismo peryodyczne*. Możemy tylko upewnić, że dwa pierwsze tomiki ukażą się w roku bieżącym. *Historya* ta nie będzie ścisłym i treściwym podręcznikiem, ale napisana w formie pogadank przystępnych i zajmujących, z uwzględnieniem jednak i chronologii i wiadomości z geografii, związek z historią mających. Nie będzie też bynajmniej tłumaczeniem, lecz pracą oryginalną, na najnowszych źródłach opartą; w ostatnich czasach dzieje Egiptu i starożytnego Wschodu znacznym uległy zmianom, w skutek nowych odkryć archeologicznych.

P. Niewęglowskiemu w Pałance. Do prenumeraty półrocznej należy się nam jeszcze kop. 55, otrzymaliśmy bowiem rs. 2.

— *Sprostowanie* — W Nrze 16 *Wieczorów Rodziny*ch na str. 247 szp. 2 wiersz 25 zamiast w poniedziałek, czytając: we wtorek po Wielkiejnocy.